

Jan Rokita: Sarmacki zamach stanu

Równy sto lat temu, w środę 12 maja 1926 roku, gdzieś przed drugą po południu, kolumna wojskowa, której czoło stanowił Siódmy Pułk Ułanów Lubelskich, sławny ze zwycięskiej szarży pod Cychowem w sierpniu 1920 roku, ruszyła ze zgrupowania w Rembertowie na Warszawę. Tak rozpoczął się jedyny w polskiej historii prawdziwy, krwawy i zwycięski „coup d'état”.

Muszę od razu przyznać, że wychowany od dziecka w tradycji patriotyzmu piłsudczykowskiego, myślałem zawsze o tym puczu, jako o słusznej i koniecznej, choć finalnie jednak nieudanej próbie „uporządkowania przez Marszałka bałaganu w państwie”, by posłużyć się tu frazą płk. Adama Koca, który w taki właśnie sposób oznajmił o rozpoczęciu akcji obudzonemu w nocy z wtorku na środę płk. Kazimierzowi Sawickiemu-Sawie, dowódcy praskiego 36 pułku Legii Akademickiej, formacji kluczowej dla przebiegu wypadków owego dnia w Warszawie. Ale choć tak właśnie sędzę o przewrocie majowym aż do dziś dnia, to zarazem od niemal pięćdziesięciu lat, czyli od czasu, gdy jako chłopiec przeczytałem świeżo naonczas wydaną monografię zamachu, pióra prof. Andrzeja Garlickiego, (komunistyczną z ducha, ale w tamtych latach bezcenną, z uwagi na szczegółową faktografię), nie mogę wyjść ze zdumienia nad chaotycznością i niepozbieraniem działań „głównego zamachowca” w tamtych dniach, a już zwłaszcza nad brakiem jasnego konceptu ustrojowego państwa po zwycięskim przewrocie. Brakiem tak zdumiewającym u przywódcy, o którym opowiada się przecież, jak to ponoć grubo przed wybuchem I wojny

światowej ślęczał i rozmyślał w samotności w Zakopanem nad wariantami konstytucji państwa, którego na razie w ogóle nie było na mapie Europy.

Nim jeszcze pada rozkaz wyruszenia kolumny z Rembertowa, Piłsudski rankiem jedzie do Belwederu; chce nakłonić prezydenta Wojciechowskiego do zdymisjonowania zdominowanego przez endeków i znienawidzonego społecznie rządu Witosy, przeciw któremu rozszerzają się już protesty i rozruchy. Ale – brzmi to dziś śmiesznie – prezydenta nie zastaje w domu, więc cały plan wojskowej demonstracji, mającej wymusić zmianę rządu, bierze w łeb i niczym w greckiej tragedii przekształca się w prawdziwy pucz. A gdy w końcu dochodzi do sławnego spotkania na Moście Poniatowskiego, Wojciechowski jest już tak nastroszony i rozindyczony widocznym nieposłuszeństwem wojska, że traci głowę i zamiast w interesie państwa zapobiec wojnie domowej, bezmyślnie do niej doprowadza. Największymi politycznymi durniami okazują się jednak związani z endecją generałowie: Rozwadowski, Zagórski, Malczewski, małostkowi i zawistni o autorytet Piłsudskiego w wojsku, więc popychający prezydenta do starcia zbrojnego i przekonujący go (jak nieszczęsny Malczewski, świeżo powołany na ministra), że „tego Piłsudskiego to owinie sobie wokół palca”. Jedyne rozsądne polityczne w tamtej godzinie próby – to premier Witos, który rozumie, jakim społecznym autorytetem i miłością wojska darzony jest Piłsudski, więc potrafi przewidzieć dalszy rozwój zdarzeń i chce mu zapobiec; żąda zatem, aby prezydent natychmiast przyjął dymisję jego rządu. Pobóg-Malinowski w swej „Najnowszej historii” nie bez racji scharakteryzuje Witosy, jako polityka „pełnego szacunku dla każdego przejawu siły”, ale w tamtym krytycznym dniu respekt dla autorytetu i siły Piłsudskiego był po prostu świadectwem rozumu politycznego oraz instynktu państwowego.

Posłuchaj podcastu: Józef Piłsudski: suweren i czyn – odc. 42 serii „Filozofować po polsku”

Wcale nie lepiej miały się rzeczy po stronie puczystów. Nawet mostów na Wiśle nie potrafili zająć na czas, bo Piłsudski nie wydał w tej sprawie rozkazu, choć przecież inaczej nie mieli jak wejść do Warszawy!

Pamiętam, że za młodu męczyło mnie odkrywanie kolejnych krytycznych sytuacji, w których Piłsudski, niosąc ciężar odpowiedzialności za los kraju, albo znika, albo poddaje się depresji, albo po prostu idzie spać. Dzisiaj, gdy na starość znam tak dobrze trywialne mechanizmy rządzące zachowaniem politycznych przywódców, uśmiecham się pobłażliwie, czytając we wspomnieniach z maja 1926 roku, jak to w kluczowych momentach puczu działać musiał ktoś inny, bo osłabiony psychicznie Piłsudski... poszedł spać.

Tragikomicznie brzmią dziś wspomnienia wiernego piłsudczyka, późniejszego generała Sawickiego-Sawy, do którego pułku na Pradze Piłsudski chroni się po katastrofalnej pogawędce na moście z prezydentem – kiedy to jasne się stało, że demonstracja siły się nie powiodła i ktoś będzie musiał wziąć odpowiedzialność za wojnę domową – i mówi mu, jakby od niechcienia (tak to interpretuje Garlicki): „Chciałbym dzisiaj móc być na Zamku. Jedźcie, a ja się tutaj położę i odpocznę”. Po czym kładąc się na leżance i okrywając kocem wszczyną pogawędkę z obecnym tam oficerem o taktyce korpusu Dowbora-Muśnickiego podczas I wojny światowej. To chyba właśnie podczas tej pogawędki, a później drzemki Marszałka w koszarach na Pradze padają pierwsze ofiary strzelaniny po zachodniej stronie Mostu Kierbedzia, co oznacza, że wojskowa demonstracja siły przeobraziła się właśnie w zbrojny pucz. Piłsudski śpi także w sobotę rano, w innym kluczowym momencie wydarzeń, kiedy po trzech dniach walk ulicznych Wojciechowski w końcu przeciwstawia się oszalałemu generałowi, chcącym przenosić stolicę do Poznania i bić się z puczystami do

ostatniego żołnierza, po czym wysłała do Piłsudskiego marszałka sejmu Macieja Rataja, wręczając mu akty dymisji rządu i abdykacji głowy państwa. Polityczny finał tej scenki jest komediowy: nie mając możliwości obudzenia Piłsudskiego Rataj sam próbuje poskładać o poranku nowy „rząd pojednania narodowego”, z peeselowcem Janem Dębskim jako premierem (świetnie zresztą później prosperującym w PRL), ale po kilku godzinach Piłsudski w końcu budzi się i wywraca wszystko do góry nogami, mianując premierem przygotowywanego do tej roli od dawna prof. Kazimierza Bartla.

Z jednej strony nieudolni, ale za to ambicjonerscy i rozgorączkowani obrońcy prawicowo-liberalnego *ancien regime'u*, którzy bez potrzeby i ze szkodą dla kraju doprowadzają do zbrojnego starcia w Warszawie. Z drugiej charyzmatyczny, ale załamany takim rozwojem zdarzeń i miotany wątpliwościami puczysta, ze skłonnością do popadania w depresję i chowania głowy w piasek (czy raczej w poduszkę). To w gruncie rzeczy bardzo polski i bardzo sarmacki obraz naszego jedyne go prawdziwego „coup d’etat”. Parę tygodni przed stuleciem tamtych zdarzeń miałem okazję rozmawiać z ekipą filmowców, planujących zrobić telewizyjny film dokumentalny, wyważający racje obu stron i opowiadający o przebiegu walk w Warszawie. Ze zdziwieniem usłyszałem skargę, iż prawie nikt nie chce wypowiedzieć się do takiego filmu, a już zwłaszcza boją się cokolwiek skomentować dzisiejsi generałowie; jak również, że muzeum w Sulejówku podchodzi do całego jubileuszu niczym pies do jeża. Ale jeśli się zastanowić, to w sumie nie dziwota, że potencjalni współcześni komentatorzy muszą mieć kłopot z tym, jak w dzisiejszych okolicznościach politycznych należałoby „poprawnie” ustawić się wobec stulecia przewrotu majowego? W wolnej Polsce figura Piłsudskiego stała się narodowym świętkiem, służącym do uczenia dzieci patriotyzmu i składania wieńców przy okazji rocznic, więc krytykując zamach sprzed stu lat

dość łatwo podpaść większości, nauczanej, że trzeba narodowo „wstawać z kolan” i piętnować antypatriotyczną „pedagogikę wstydu”. Ale zarazem w czasie, gdy obie strony współczesnego polskiego konfliktu o władzę każdego dnia przerzucają się zarzutami o łamanie konstytucji, prawa i pełzający zamach stanu, trudno też stawiać się w roli apologety wojskowego puczu, który – acz zrzecznie zalegalizowany po trzech dniach walk w Warszawie – przyniósł kilka setek ofiar. Z oportunistycznej perspektywy najlepiej milczeć, albo w najgorszym razie powtarzać mało znaczące slogany o „napięciu między przekonaniem o konieczności silnych rządów a obroną legalnego porządku”, jak to napisano w autorskim komentarzu do plenerowej wystawy, zorganizowanej w końcu przez muzeum w Sulejówku.

Przeczytaj recenzję książki: „Maj 1926. Zamach, którego miało nie być”

Tymczasem rzecz przecież w tym, że polityka z góry wyrzekająca się użycia siły jest absurdem i sprzecznością wewnętrzną. A od chwili upadku rządu Skrzyńskiego – ostatniego rządu narodowego kompromisu, czy też (jak pisał w „Słowie” 6 maja 1926 r. Cat Mackiewicz) „w ogóle ostatniego gabinetu republikańsko-demokratycznego”, powrót do władzy Marszałka był ostatnią szansą na przełamanie wszechogarniającego państwo kryzysu i rozprzężenia. Gdyby nienawidzący Piłsudskiego oficerowie, jak i cała ówczesna pravicowo-liberalna elita polityczna miała silniejszy instynkt państwowy, to dokonałoby się to bez trzydniowej wojny domowej na ulicach Warszawy. W niedostatku instynktu państwowego tkwi historyczna wina tamtych obrońców spróchniałego *ancien regime’u*. Natomiast historyczną winą Piłsudskiego nie jest bynajmniej poruszenie przezeń wojska dla odzyskania władzy, ale to, że całkowitej uległości kraju – sejmu, partii politycznych, gazet i opinii publicznej –

po zwycięskim przewrocie nie przekuł natychmiast na nowy ustrój państwa. Ustrój prezydencki, najlepiej typu amerykańskiego, w którym on sam stałby się legitymizowaną i rządzącą głową państwa, zaś ustawodawczy sejm zostałby odcięty od bezpośredniego wpływu na rządzenie. O takiej przecież sanacji państwa, która odpartyjniłaby proces rządzenia, Piłsudski mówił nieustannie przed zamachem, choćby w gniewnych wywiadach dla „Kuriera Porannego”. Ale kiedy nagle mógł taką sanację wprowadzić w czyn, to wylazł z niego jeszcze jeden kresowy szlachcic i sarmata, niepotrafiący, albo co gorsza – nieprzywiązujący wagi do budowania nowych instytucji. Wolał ośmieszyć parlament, który wybrał go w dobrej wierze na urząd prezydenta, i z pogardą nie przyjąć tego najwyższego urzędu. I wolał stać się dyktatorem z tylnego siedzenia, który zamiast zbudować nowy ustrój, z coraz większym zapamiętaniem niszczy dotychczasowy. Dlatego dwunasty maja – to symboliczna data dla tych, którym nadal marzy się „uporządkowanie bałaganu w państwie”, czyli najlepszy ustrój Rzeczypospolitej. Tyle tylko, że paradoksalnie, stulecie tamtego sarmackiego zamachu stanu nie jest – jak to u nas – rocznicą ustrojowego zwycięstwa, ale wielkiej, choć utraconej ustrojowej okazji.

Jan Rokita

fot. *Alex Kuhn / ArtService / Forum*

Przeczytaj też: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej